



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Marek Majewski

## Z mgły niepamięci

Urodziłem się 19 września 1939 roku w Warszawie na ul. Przemysłowej 10, na Powiślu. Wspomnienia o tym okresie, muszę uzupełnić przez fakty podane mi przez matkę. Otóż na skutek niebezpieczeństwa zbombardowania szpitala przy ulicy Czerwonego Krzyża, obecnie nazywanego Śródmiejskim, musiała cofnąć się z powrotem na ul. Przemysłową. Tam też przy pomocy prywatnej akuszerki przyszedłem na świat. Jak wszyscy wiemy był to czas bardzo niespokojny. Dalej oprę się na własnych spostrzeżeniach i refleksjach. Moja świadomość dziecka, jak sądzę, zaczęła kształtować się na przełomie czwartego i piątego roku życia. W oczach zapisał mi się wygląd kamienicy na ul. Przemysłowej 10. Mogę śmiało powiedzieć, że była to czynszowa kamienica, z dużym podwórkiem, zamknięta. Często przebywałem na podwórku i bawiłem się z mieszkającą w tej kamienicy siostrą cioteczną oraz przeważnie starszymi dziećmi.

Rodzina moja składała się z mojej matki, Teodozji, babki Józefy Szilling, dziadka Mariana i mnie – Marka. Ojciec mój Franciszek został zabrany w roku 1940 z ulicy Skaryszewskiej na roboty przymusowe i do końca wojny był w Niemczech. Losy moje zostały więc w latach 1940-45 związane tylko z tymi trzema bliskimi osobami. Dla mnie życie toczyło się jak gdyby normalnie. Otoczony byłem przez kochających mnie bliskich. Chyba nie odczuwałem braku ojca. Ale do świadomości docierały jakieś niepokojące rozmowy i często wymawiane słowo – Niemcy. Słowo to było dla mnie synonimem strachu, choć na pewno nie zdawałem sobie sprawy o co tak dokładnie chodzi. Z babcią moją chodziliśmy na spacer do parku. Były to niewątpliwie tereny Agrykoli. Zapamiętałem jesień, kojarzącą się z leżącymi już na ziemi kasztanami, które razem zbieraliśmy. W oddali przechadzał się wartownik niemiecki, uzbrojony, w hełmie i z karabinem. Chodził spokojnie, obserwowany przez nas. Niemiec ten w otoczeniu pięknej przyrody oraz niezwyklej ciszy, którą pamiętam i zupełnej pustki dookoła, był dysonansem i zgrzytem. Tych spotkań było wiele. Wędrowałem przeważnie z babcią i napotykałem się na widok żołnierzy niemieckich na ulicach czy też jadących samochodem.

Często bywaliśmy na Cyplu Czerniakowskim, który w tym czasie był miejscem wypoczynku pobliskich mieszkańców. Sądzę, że bywaliśmy tam w dni świąteczne, gdyż pamiętam, że bywała tu matka. Ludzie pływali lub siedzieli na piasku, a raz nawet jak pamiętam popłynąłem na łodzi znajomego z naszej kamienicy. W pobliżu nie było widać Niemców. Można powiedzieć – istna sielanka.

Sam wybuch Powstania nie zarejestrował mi się w pamięci czymś szczególnym. Jako dziecko nie mogłem go zauważyć. Nie pamiętam, aby mnie ktoś informował o tych szczególnych wydarzeniach. Dzień powszedni w okresie działań powstańczych w kamienicy na Przemysłowej przebiegał na zasadzie przebywania w mieszkaniu. Często na skutek informacji podawanych solidarnie przez innych lokato-

rów zbiegaliśmy do piwnicy. Oczywiście była to piwnica ceglana. Jeżeli sobie dobrze przypominam, to chyba nawet oświetlona. Odgłosy Powstania były słyszane już bardzo wyraźnie. Mam tu na myśli potworny ryk tzw. krów lub szafy. Starsi ludzie siedzący z nami potrafili określić miejsce upadku pocisku i wymieniali jakieś ulice. Wszyscy kulili się w potwornym strachu. To schodzenie do piwnicy odbywaliśmy bardzo wiele razy, aż do upadku Powstania. Niezmiennie były tylko wrażenia wszystkich ludzi, moich bliskich i mnie samego. Jakaś łaska Boża ocaliła ten budynek. Było to zadziwiające. Życie toczyło się jednak mimo wszystko.

W poprzek ulicy Przemysłowej z bramy naszego budynku szedł głęboki wykop na drugą stronę jezdni. Przechodziłem z matką w tym wykopie obok jakichś grubych rur. Pamiętam te przejścia, gdyż przy wyjściu miałem stracha, że nas trafią. Po co tam przechodziliśmy – tego nie pamiętam.

Dzień po dniu przebiegały chwile naszego życia – w biedzie i głodzie. Byłem karmiony kaszą jaglaną, którą znieawidziłem na zawsze. Te dni były bardzo podobne do siebie, gdyż obszar na którym wszyscy się poruszaliśmy był naturalnie ograniczony. Z babcią moją wyszliśmy gdzieś na tyły kamienicy, na duży plac. Tu byłem świadkiem lecących kartek z samolotów niemieckich. Ludzie nie bali się i podnosili je do czytania. Czytała je również moja babcia. Zaraz po tym fakcie znów widziałem po przeciwnej stronie placu przechodzących przez mur powstańców. Było to kilka osób.

Nigdy nie dociekałem, jakie oddziały niemieckie rozkazały nam opuszczenie kamienicy. Jedno jest pewne – ludzie byli przerażeni. „Nie zabiją nas, jest nas za dużo” – twierdziła moja matka. W tym momencie poczułem ulgę. W gruncie rzeczy nie zdawałem sobie dokładnie sprawy ze skali zagrożenia. O tym, że byliśmy skazani na łaskę i niełaskę konwojujących nas niemieckich żołnierzy, przekonaliśmy się niebawem.

Matka moja trzymała mnie na rękach, toteż zapamiętałem tę scenę niemalże fotograficznie. Chodziło o zwykłą grabież. Matka oddała jakąś rzecz. Z wysokości jej ramienia patrzyłem w oczy tego Niemca i jego ciemną twarz. Ograbieni z dobytku ruszyliśmy do przodu. Szedłem już na własnych nogach i zapamiętałem dobrze trasę początkową. Szliśmy wzdłuż kanału Piaseczyńskiego. Marsz nasz zaznaczył się tragicznym widokiem zabitego mężczyzny. Leżał twarzą do ziemi, na pomoście między dwoma kanałami. Od matki otrzymałem odpowiedź dlaczego tu leży ten człowiek – jest zabity. A zatem tak to wygląda. Kiedy to nastąpiło, tego nie wiedzieliśmy. Może był to powstaniec, a może przypadkowy cywil.

Zatrważająca była informacja mojej matki o podpaleniu naszej kamienicy. Odwróciłem się do tyłu, ale nic nie zobaczyłem. Szliśmy początkowo w zwartej grupie. Po kilku kilometrach tłum nasz był coraz bardziej rozwlekły i poszarpany na grupki, zdążający jednak w jednym kierunku. Coraz częściej widziało się mienie porzucone przy drodze. Jakieś poduszki, pierzyny, pudła i pudełeczka. Prawdopodobnie ludzie dochodzili do wniosku, że nie udźwigną tych rzeczy. W pierwszej kolejności liczyło się ratowanie własnego życia. Prowadzący nas Niemcy musieli być rozstawieni dosyć rzadko, bo nie zapamiętałem ich z trasy przemarszu. Ludzie odłączali się i zrywali pomidory z pobliskich pól, obok których przechodziliśmy. Matka również przydzwigała jakieś pomidory.

Nie mogę opisać trasy przemarszu, gdyż jako dziecko nie mogłem jej zapamiętać. Mogę tylko powiedzieć, że po tej wyczerpującej wędrówce już w nocy dotarliśmy na miejsce pobytu. Zatrzymaliśmy się w jakiejś kamienicy. Zabronione było wchodzenie na piętra. Matka moja złamała ten zakaz i razem ze mną weszła do mieszkania na piętrze. Dziadkowie zostali na dole. Większość drogi przeszedłem na własnych nogach albo niesiony przez matkę. Byliśmy zmęczeni. Mieszkanie było zadbane i robiło wrażenie, jakby lokatorzy dopiero co z niego wyszli. Rzuciliśmy się w ubraniach na łóżko. Raniutko byliśmy już na dole. Razem z dziadkiem i babcią ruszyliśmy dalej. Prowadzono nas w kierunku dworca. Przypominam sobie, że wagony były osobowe, gdyż siedziałem przy oknie. Znaleźliśmy się w Pruszkowie. Był to obóz przejściowy tzw. Dulag”. Samego wejścia na teren obozu nie przypominam sobie. Ale już wejście na halę fabryczną widzę z całą wyrazistością. W środku zastaliśmy już gromady ludzi. Stali lub leżeli na własnym dobytku, składającym się przeważnie z jakichś ubrań i tobołków. Zapamiętałem szczególnie twarz jednego z mężczyzn w średnim wieku. Leżał w pozycji półleżącej, oparty o tobołki. W oczach jego i twarzy odzwierciedlało się śmiertelne zmęczenie. Obok siedziały kobiety.

Z kuchni polowych otrzymywaliśmy jakąś zupę. Problemem były naczynia. Jadło się w puszkach, nielicznych talerzach itp. Dzieci otrzymywały mleko w proszku. Pamiętam rozdające je siostry zakonne w białych, szerokich kornetach na głowie. Jeżeli chodzi o dzieci, to nie utrwaliło mi się w pamięci, aby była duża liczba moich rówieśników. W obozie tym znalazł się również mój brat cioteczny o 7 lat starszy, z babką i matką.

W mojej pamięci zapisały się wydarzenia, które mocno odbiły się na mojej psychice. Takim wydarzeniem był wyjazd z obozu na dalszą tułaczkę. Na zewnątrz hali stał niemiecki wartownik, który przepuszczał nas do wagonów osobowych. Matka, tak jak poprzednio przy wyjściu z kamienicy przy Przemysłowej, trzymała mnie na rękach. Tu nastąpiło żywe zainteresowanie moją osobą przez wartownika. Zarzucił matce, że nie jestem jej dzieckiem. Ona, znając kilka słów po niemiecku, stanowczo

zaprzeczyła temu twierdzeniu. Patrzyłem na ten incydent zaniepokojony. Być może dlatego zapamiętałem to, jako coś groźnego.

Przedostaliśmy się do wagonów. Zostaliśmy wyładowani po przyjeździe do Częstochowy. Stąd dostaliśmy się do wsi Piasek. Sołtys przydzielił przybyłych do poszczególnych gospodarzy. My początkowo trafiliśmy do bardzo biednych gospodarzy o nazwisku Mizgało. Po usilnych staraniach ze względu na mnie, przydzielono nas do innych. Nazywali się Garncarze. Byli starsi – tak jak moi dziadkowie. U państwa Garncarzów przebywaliśmy do końca wojny. Była to czteroosobowa rodzina, składająca się z rodziców i dwojga dzieci: córki imieniem Tola oraz syna Władka. Wszyscy oni byli życzliwi i przyjaźni. Matka moja brana była do różnych prac w gospodarstwie. Chodziła również z Tolą na pobliskie jarmarki z drobiem do sprzedania. Rozumiały się z Tolą bardzo dobrze.

Zachorowałem na silne bóle brzucha. Mogło to być zapalenie wyrostka. Przypominam sobie jak przez mgłę jazdę saniami z zaprzęgniętym koniem. Jechały trzy osoby: Tola, moja matka i ja. Gospodarz pozwolił na jazdę pomimo niespokojnego czasu i okolic. Na miejscu lekarz zbadał mnie i przepisał jakieś dostępne w tym czasie leki. Do domu wróciliśmy szczęśliwie.

We wsi Piasek miałem jako dziecko towarzyszkę do zabawy – dziewczynkę, prawdopodobnie córkę kogoś z warszawiaków. Spędzaliśmy czas na harcach i to dawało poczucie dzieciństwa zbliżonego do normalności. Na co dzień nie widywało się we wsi Niemców. Przyjeżdżali prawdopodobnie tylko po odbiór kontyngentów. Wtedy obserwowałem ich z daleka. Jednakże psychoza wojny i nadzieja jej chyba niedługiego zakończenia powodowały, że kilka razy opuszczaliśmy gospodarstwo i uciekaliśmy do pobliskiego lasu. Był to już na pewno rok 1945. Może marzec, gdyż śniegu w tym lesie nie było. Ucieczka spowodowana była strachem przed bombardowaniem oraz zbliżaniem się oddziałów niemieckich. Do lasu jechało się furmankami i po jakimś czasie wracało się z powrotem. Na pewno wszyscy byliśmy znerwicowani życiem w ciągłej obawie. Przeżywaliśmy ten lęk nawet wtedy, gdy pojawiał się tylko pojedynczy samolot. Matka moja i ja leżeliśmy plackiem w stodole i przez otwarte drzwi obserwowaliśmy go. Pamiętam doskonale takie zdarzenie. Monotonny warkot był paraliżujący. Widziałem samolot, słyszałem pracę silnika i oczekiwałem na jakieś straszne skutki. Na szczęście wszystko zbliżało się do końca.

Któregoś dnia w chałupie znalazła się grupka Niemców. Byli cisi i zajęci nasłuchem przez radiostację. Można powiedzieć, że uciekali. Z rana następnego dnia już ich nie było. Odeszli po cichu, nie wiadomo kiedy. Nikogo nie obudzili. Tego samego dnia wkroczyli żołnierze radziecy. W odróżnieniu od Niemców byli bardzo hałaśliwi i ciągle w ruchu. Nie patrząc na nic wtoczyli olbrzymie koła do schludnej kuchni naszej gospodyni. Obserwowałem to wszystko z wielką ciekawością.

Wyżywienie żołnierzy nie było wymyślne. Podstawową potrawą była słonina z kromką chleba. Z tej słoniny korzystali wszyscy, którzy znajdowali się w chałupie. Z okresu pobytu żołnierzy radzieckich zapamiętałem przemarsz oddziału niemieckiego, a właściwie jeńców niemieckich. W przybliżeniu było ich około 20. Prowadził ich jeden żołnierz radziecki. Był to dla mnie dziwny widok. Żołnierze niemieccy szli potulnie w niekompletnym umundurowaniu. Dla nas, warszawiaków, oznaczało to już wyzwolenie. Opuściliśmy wieś i gospodarzy. Dużą życzliwością w tej wsi otaczała nas również rodzina państwa Nowaków. Przy wyjeździe obdarowali nas olbrzymim chlebem własnego wypieku. Z gospodarzami pożegnaliśmy się również bardzo gorąco i podziękowaliśmy za wszystko. Furmanki zabrały nas do Częstochowy. Jak przebiegała dalej nasza trasa, tego nie wiem. Wracaliśmy do Warszawy.

Pierwsze kroki w stolicy wszyscy skierowaliśmy na stare miejsce zamieszkania, na ulicę Przemysławą. Oczywiście zastaliśmy wypaloną ruinę. Dobrym wynalazkiem w tym czasie było zostawianie kartek z wiadomością dla najbliższych. Zrobiliśmy tak, jak inni ludzie, którzy ściągali na swoje rodzinne miejsca. Była to wiadomość dla ojca. Jeżeli by się tu zjawił. Nie było przecież wiadomo, czy przeżył. Potem skierowaliśmy się do Rembertowa. Mieszkała tam rodzina mego ojca. Na miejsce dotarliśmy pieszo. Przyjęła nas teściowa mojej matki, a dla mnie druga babcia. Mieszkanie w gromadzie w tych powojennych czasach nie było dobre. Toteż w krótkim czasie przeprowadziliśmy się o dwie posesje dalej, do wolnego mieszkania, gdzie wkrótce się zameldowaliśmy. Widok był przygnębiający. Nie było światła, korzystaliśmy z karbidówki, a w późniejszym okresie z lampy naftowej. Ściany obdrapane, okna zabite dyktą. Ale przecież najważniejsze było to, że mieliśmy kawałek dachu nad głową i można było dalej żyć. Każde z nas miało własne przeżycia i obserwacje. Brakowało jednej osoby w naszej rodzinie – ojca. Przeżył i któregoś dnia w okresie późnego lata 1945 roku zjawił się w naszym mieszkaniu. Doszły teraz jego opowiadania z okresu pobytu na terenie Niemiec, na robotach przymusowych. Myśmy opowiadali o swoich. Po pięciu latach zobaczyłem ojca, którego wcześniej nie mogłem zapamiętać.

Do szkoły poszedłem w roku 1946 w Rembertowie. Siedziałem pośród dryblasów, których zaskoczyła wojna. Ja miałem szczęście, zaczynałem szkołę w odpowiednim czasie.

Dzisiaj występuję jako świadek historii, choć miałem wtedy 5 lat.